

Warszawa dnia 22 Września / 4 Października 1865 roku.

Nr 40. Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. Rok I.

BŁOGOSŁAWIONY WINCENTY KADŁUBEK.

Nic tak nie zachęca do szlachetnego czynu, jak rozpatrywanie żywotów ludzi sławnych, których imiona zapisane i w księgach wiekowych i w niezatartéj pamięci ludów. A jeszcze bardziéj wzruszają serca nasze wspomnienia mężów, którzy przed laty na ziemi naszéj zrodzeni, żyli przykładnie, poświęcając dni swe na chwałę Boga i dobro kraju.

Do rzędu takich zasłużonych ludzi, należy i *Wincenty Kadłubek*. Urodził się on około roku 1160 we wsi Karwowie, niedaleko miasta Opatowa, z ojca Bogusława a matki Benigny. Spokojnego usposobienia z natury, poświęcił się w latach statecznych stanowi duchownemu, i został najprzód proboszczem Panny Marji w Sandomierzu, następnie w roku 1207 wybrany przez kapitułę Krakowską biskupem Krakowskim, wyświęcony w roku 1208 przez Henryka z Brenu, arcybiskupa Gnieznieńskiego. Jako pasterz, zasłynął świątobliwością swego żywota i zyskał poważanie wszystkich rodaków, tak ludu jak i królów Polskich: Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego. W tym czasie, w Haliczu, wstąpił na tron Koloman syn Andrzeja króla Węgierskiego i tenże Koloman dla trwalszego przymierza z Polską, prosił o rękę Salomei córki Leszka. Leszek, przychylając się do prośb, posłał Salomeę do Halicza, pod opieką Wincentego i kanclerza Iwana Odrowąża z Końskich.



Błogosławiony Wincenty Kadłubek.
(Rysował Tegazzo — wyciął na drzewie Styfi).

W Haliczu najprzód była koronacja Kolomana i Salomei, a następnie ich zaręczyny; przytem wszystkiem obecny był Wincenty, jako opiekun, a nawet, jak niektórzy pisarze dziejów twierdzą, miał Wincenty koronować młodą królewską parę. Nie długo atoli Wincenty w Haliczu przebywał. W Haliczu wybuchły zaburzenia, naród odstąpił Kolomana, zawiązała się walka, Wincenty z Iwonem uciekli z Halicza. Koloman z Salomeą uwięzieni zostali i wysłani na wygnanie daleko na północ. Biskup wróciwszy do Krakowa, zatęsknił do spokojnego życia. Już poprzednio w roku 1212, kiedy w czasie wielkiéj burzy piorun uderzył w katedrę i tamże wszystko zniszczył, Wincenty wziął to za ostrzeżenie z Niebios; zaczął się przygotowywać do opuszczenia świata i rozdał w roku 1212 dobra swe rodzinne Cystersom w Sulejowie i Koprzywnicy. Gdy zaś wrócił Wincenty z Halicza, zgryziony niepowodzeniem zamysłów Polskich i Leszka Białego, jeszcze więcéj tęsknił do zakonnego życia, tembardziéj, iż i z duchowieństwem Krakowskiem zaszły nieporozumienia. Wincenty albowiem, przekładając nad wszystko, dobro kraju, a widząc nawał klęsk z różnych stron mu grożących, nie zawahał się ni na chwilę w gorliwem spełnianiu obowiązków obywatelskich, i pierwszy przyzwolił skwapliwie na nałożenie niejakich ciężarów i danin na dobra ziemskie, należące do księży. Ztąd oburzenie księży, ztąd swary i niechęci. Biskup atoli był w prawie, bo zawsze i wszędzie potrzeby kraju, powinny być pierwszemi potrzebami—i nikt, a tembardziéj duchowieństwo, uchylać się nie powinno. Wincenty zatem w roku 1218 złożył władzę biskupią i wstąpił do Cystersów w Jędrzejowie, albo jak wówczas zwali w Marymundzie. Cystersi byli z rodu prawie

sami Francuzi i Niemcy; ci nie mogąc wymówić dokładnie po polsku: Wincenty syn Bogusława— przezwali go po swojemu z niemieckiego *Wincentius Gottlobonis* [1]), a z tego powstało Kadlubonis, aż w reszcie ostatecznie Kadłubek. W Jędrzejowie żył jeszcze lat 5. Umarł 8 marca 1223 roku i tamże pochowany. Żył lat 64. Dziś jeszcze w dawnym klasztorze Cystersów pokazują celę, w któréj przemieszkiwał Kadłubek. Sława świętobliwości Wincentego coraz bardziéj wśród narodu wzrastała, lud przywykł uważać Wincentego za świętego, chociaż kanonizacji z Rzymu nie było. O kanonizację trudno się było wystarać. Reguły Cystersów zabraniały im starań podobnych. Aż dopiero za Władysława IV, Remigjan Koniecpolski biskup Chełmski, wziął całą tę sprawę do serca. Dnia 19 sierpnia 1633, otworzył grób Wincentego w Jędrzejowie, a w roku 1634 i synod duchowieństwa wWarszawie i Sejm wnieśli sprawę o kanonizację Kadłubka, która to sprawa, wlokąc się czas długi, zakończoną została dnia 11 lutego roku 1704, wyrokiem Papieża Klemensa XIV-go, uznającym Wincentego błogosławionym. Święto naznaczono na drugą niedzielę października. W roku 1845 d. 12 października, jedną część relikwji przeniesiono do Sandomierza, a druga część pozostała w kościele po-Cysterskim w Jędrzejowie, w kaplicy zwanéj: „błogosławionego Wincentego Kadłubka."

Ale nie samemi tylko cnotami, zyskał sobie Kadłubek wieniec nieśmiertelności. Żyć on będzie w pamięci kraju, jako jeden z pierwszych mężów, który obszerniéj zebrał i opisał historję Polską. Pragnął on zostawić pamiątkę braciom swoim, pragnął uwidocznić przed ich oczyma rozliczne wypadki, w jakich kraj się znajdował i z mozolną pracą napisał *„Kronikę Polską,"* ale niestety w Łacińskim języku, nie dla każdego przystępnym.

Bogobojność zatem w życiu i zasługa z napisania dziejów ojczystych wynikła — oto dwie przyczyny, które złożyły się na unieśmiertelnienie nazwiska Wincentego Kadłubka, a zarazem dały nam powód do opisania życia tego błogosławionego i uczonego męża, którego pamiątkę Kościół Katolicki obchodzi w niedzielę drugą października każdego roku.

Aleksander Makowiecki.

ZYCIE W PUSZCZY.

PAMIĘTNIK SPRAWIEDLIWEGO CZŁOWIEKA.

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 35 do 39).

Wtedy, gdym przyszedł na służbę do starego Tomasza, było już wszystko zasiane i obrobione; ozimina wyglądała pięknie, jeszcze tylko pod ziemniaki trzeba nam było zorać, zbronować, a czas też już był na to. Jakoś więc na trzeci dzień, rychło świt, kazał mi Tomasz zaprzągnąć do pługa, mówiąc, że w pole wyruszymy. Trudne to było dla mnie zadanie, bo nie wiem czym przedtem ze dwa razy konie zaprzągał, i to ladajako; robiłem to jednakże z uwagą i jakoś poszło. Wyszedł stary Tomasz, poprawił jeszcze co nieco, i tak ruszyliśmy orać. Ja oczywiście byłem za poganiacza; bo za pługiem nic zgoła nie umiałem chodzić; ale Tomasz pokazywał mi jak trzeba pług trzymać i jak nim kierować, żeby skiby były proste, jak pod miarę i wszędzie jednako szerokie i głębokie. Próbowałem sam kilka razy, a żem miał dość sprytu, więc szło jakoś, choć bardzo licho. Pomimo to, powiedział mi Tomasz, że potrafię niezadługo, i nawet obiecał, że pod zimę samemu mi orać pozwoli. Skoro się już wybronowało i wyczyściło rolę należycie, wzięliśmy się do sadzenia ziemniaków za pługiem, gdyż jak Tomasz mawiał, najlepszy i najprędszy to sposób. Za pługiem szła Basia i rzucała ziemniaki pod skibę, które z powrotem ziemia drugiéj skiby zasypywała.

Na takiéj robocie chętnéj i gorliwéj, zbiegał czas piorunem. Jedno drugiemu szło z pomocą, i tak wszystko troje wystarczaliśmy wygodnie na całe gospodarstwo. Ja z Basią śpiewaliśmy sobie zawsze wesoło do pracy, a stary Tomasz się uśmiechał łagodnie, i tak się nieraz na mnie spoglądał, jak na syna. Jak ja go pokochałem, tego i wyrazić nie potrafię. On był już dla mnie sieroty prawdziwym ojcem od owéj chwili w ogrodzie, gdy mnie do serca przycisnął.

Raz spałem jeszcze bardzo smacznie, kiedy mnie Tomasz obudził.

— Wstawaj Antku, rzekł półgłosem, pójdziemy na kośbę.

Przetarłem oczy, patrzę, jasno na izbie; zerwałem się więc czemprędzéj, myśląc, że już dobry ranek. Lecz gdzież tam, to księżyc zaglądał tak do izby i mogło być dopiero po północy. Spojrzałem więc pytającym wzrokiem na Tomasza, co on zobaczywszy, rzecze:

— Nie dziw się mój chłopcze! Noc miesięczna do kośby najlepsza; w chłodku zwija się człowiek raźnie. Za to w południe, podczas spiekoty, będziesz mógł spać sobie jak zabity pod brogiem.

Takiem się był już wezwyczaił do roboty, że mi Tomasz nie potrzebował dwa razy jedno mówić. Toć i teraz choć rozespany, rzuciłem na siebie czemprędzéj płótniankę, a Tomasz dał mi kobiałkę z chlebem i serem na ramię, gdyż sam wziął fuzję od wszelkiego wypadku, poczem zabrawszy kosy i osełki do ostrzenia, wyszliśmy z domu. I byłem wnet bardzo rad, że idziemy, bo pierwszy to raz miałem kośby spróbować, a mogłem już wziąść się do téj pracy, bo choć szesnastoletni, rosły byłem i bardzo tęgi w sobie.

Noc była prześliczna; księżyc świecił jak rybie oko i dokoła panowała cichość tak głucha, żeś mógł słyszeć chrupnięcie najdrobniéjszéj suchéj gałązki za każdem stąpnięciem. Chłodny wiaterek przeciągał po nad lasem, i zrazu było mi zimno, lecz po pewnym czasie rozgrzała się krew chodem i cieplej się zrobiło. Szliśmy kawałek brzegiem tego samego potoczka, po którym ja do Tomasza trafiłem, a potem wzięliśmy się na prawo wązką dróżyną.

— Zimno jest trochę i wilgotno, odezwał się Tomasz. Nie długo mógłby człowiek wytrzymać bez słońca, bo to miesiączek, światło niby daje ale nie grzeje, więc niby przy nim żyć i rosnąć nie mogło.

Zmiarkowałem ja z tych słów Tomasza, że chce gawędkę podczas drogi rozpocząć, jako że lubił bardzo często o Bożym świecie i o życiu różnych stworzeń rozpowiadać, czegośmy z Basią z wielką ciekawością słuchali. Zapytałem więc:

— A czemuż to słońce koniecznie do życia potrzebne?

— Dużoby o tem mówić, rzekł Tomasz, ale pokrótce powiedziawszy, słońce dlatego jest do życia niezbędne, że najprzód ogrzewa ziemię i wszystkie

---

[1]) *Gott* znaczy *Bóg*—*loben* znaczy *sławić.*

stworzenia na ziemi, jak troskliwa kokosz pisklęta skrzydłami, a potem, że przekonali się ludzie, iż bez światła słonecznego, żadne ziółko rosnąć nie potrafi. Uważałeś pewnie, że jeżeli w ciemnym lochu pietruszka lub marchew wypuści listeczki, to są bardzo blade i wątłe, a choćbyś je tam okopał i podlewał, to ci inne nie urosną, chyba w tem miejscu, gdzie choć trochę światła zachodzi, bo światło słoneczne jest niezbędnie dla roślin potrzebne.

Nie chciałem ja odrazu temu wierzyć, więc odezwę się:

— Toć przecież rośliny ze światła ani z powietrza się nie żywią, tylko z ziemi; więc cóżby im to szkodziło, czy jest słonko na Niebie czy nie, byle tylko ziemię miały.

Tomasz nie odpowiadał przez chwilę; znać namyślał się, jak mi tu najkróciéj a najzrozumialéj odpowiedzić. Uszliśmy z kilkanaście kroków znowu pośród głuchéj ciszy, aż wreszcie Tomasz tak się odezwał:

— Wszystkie stworzenia Boże, czy to ludzie, czy zwierzęta, czy też rośliny, jak drzewa, zboża, trawy; trojakiego potrzebują pokarmu: ziemi, wody i powietrza. Człowiek żywi się zbożem lub jarzynami wyrosłemi na ziemi, albo też mięsem takich zwierząt, które trawę jedzą, i to jest pokarm ziemny człowieka. Oprócz tego ma człowiek często pragnienie, które tylko woda dostatecznie ugasić potrafi, jakoż bez wody i trzech dni przeżyćby nie mógł. Również potrzebnem, jak pożywienie z ziemi i woda, jest też powietrze dla życia człowieczego. Zdaje się niejednemu, że jeśli stanie w czystem polu, to prócz ziemi pod nogami a Nieba nad głową nic nie ma koło niego; tymczasem jego otacza wszędzie rzadsze od wody ciało, powietrze, które czujemy jako wiatr, kiedy drzewa ugina a czasem i wyrywa. Musi więc to powietrze być *czemś*, to jest ciałem tak jako woda i ziemia i nie może być niczem, skoro ma tak wielką siłę jako wicher. Otóż to powietrze jest trzecim pokarmem człowieka, bo jeśli zamkniesz usta i nos, to wnet się zaczniesz dusić, a człowiek ziemią przysypany, albo po prostu choćby pierzyną mocno przygnieciony wnet się zadusi, dlatego, że oddychać, to jest powietrza wciągać nie może.

— Ależ tu słońce nic do tego nie ma, przerwę ja Tomaszowi.

— Tylko poczekaj, a wnet wyrozumiesz, odparł Tomasz i tak ciągnął daléj:

— Do przyjmowania pokarmów z ziemi, to jest chleba, jarzyn lub mięsa, ma człowiek *żołądek* i *wnętrzności;* żołądkiem i wnętrznościami przyjmuje tożsamo wodę, lecz do przyjmowania powietrza, jest w piersiach człowieka zupełnie inna część, to jest *płuca.* Płucami oddycha człowiek czyli połyka i oddaje niezbędne do życia powietrze. Tak samo jak człowiek potrzebuje i każde inne zwierzę do życia ziemi, to jest innych zwierząt lub roślin na ziemi wyrosłych, wody i powietrza, jednego mniéj drugiego więcéj; każde zwierzę ma też tak jak człowiek żołądek i płuca, choć różnie to tam u nich wygląda. Zdziwisz się atoli, jeśli ci powiem, że nie tylko zwierzęta, lecz i wszelkie rośliny potrzebują do życia ziemi, wody i powietrza, a jeszcze bardziéj się zdziwisz, usłyszawszy, że i rośliny mają niby żołądek i płuca. U człowieka i u zwierząt są przyrządy do przyjmowania pokarmów, do trawienia i wreszcie do oddychania wśrodku ciała; z wierzchu więc tego nie widać. U roślin zaś są te wszystkie przyrządy na wierzchu, lecz trzeba długo się przypatrywać i długo uważać, jak ja stary się przypatrywałem, ażeby rozpoznać co do czego w roślinie jest przeznaczone.

Ciekawość wielką wzbudziły we mnie te ostatnie słowa Tomasza; kiedy więc przestał mówić na chwilę, prosiłem go, aby do reszty mi o tych rzeczach opowiedział.

— Otóż widzisz, korzeń u rośliny jest tak jak gęba i żołądek u zwierzęcia; zapomocą korzenia tkwiącego w ziemi ssie roślina wodę i rozpuszczone w wodzie pokarmy ziemne i bez tego żyć nie może; bo jeśli wyrwiesz kwiatek z korzeniem z ziemi, to ci wnet zwiędnie i zeschnie. Ale i bez powietrza nie mogłaby żyć roślina, gdyż potrzebuje oddychać za pomocą listków, które są u niéj tak jak płuca u zwierzęcia. Ułam świeżą gałązkę z drzewa i włóż ją do flaszki, a potem naléj wodą, to się przekonasz, że liście oddychają, bo zobaczysz jak się z nich małe bańki powietrza na wierzch wody wydobywać będą. Lecz dwojakiem powietrzem oddycha człowiek i inne zwierzęta, dwojakiem też powietrzem oddychają rośliny. Czyste powietrze wciąga człowiek w płuca, nieczyste zaś wydycha; u roślin zaś jest przewrotnie, gdyż one to nieczyste powietrze przez zwierzęta wydychane, wciągają w swe listki, wydychają zaś niemi powietrze czyste zwierzętom do wciągania potrzebne. Możesz atoli teraz uważać, i nieraz to pewnie uważałeś, że powietrze w lesie w dzień jest zupełnie inne, orzeźwiające, w nocy zaś, ot jak teraz, jest więcéj duszące. A dla czegoż to? Oto dlatego, że rośliny tylko w dzień to powietrze czyste ze siebie wydychają, to jest wtedy gdy słonko świeci; w nocy zaś wydychają rośliny tak jak i zwierzęta powietrze nieczyste ze siebie, a to jest powietrze do wciągania dla człowieka nie dobre, powietrze takie, któremby człowiek się zadusił, gdyby mu nim dłużéj oddychać przyszło. Cóżby się więc stało, gdyby słońca świecącego nie było na Niebie? Oto rośliny nie mogłyby wydawać ze siebie czystego powietrza, więdłyby i gniły wydychając ze siebie nieczyste powietrze jak i zwierzęta; wnet zabrakłoby ludziom i zwierzętom czystego powietrza, ludzie i zwierzęta nie mogłyby żyć na téj ziemi. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

BRZOZA GRYŻYŃSKA.

(Z PODAŃ NASZEGO LUDU).

W blizkości rzeki Odry, leży wieś Gryżyna, a o kilka staj za nią stoi kościół Ś-go Marcina zupełnie zrujnowany, a przy nim wznosi się niezmiernéj wielkości brzoza. Przed wielu laty zmarło tu dziecię i pochowano je na cmentarzu przy kościele.

W parę dni po pogrzebie, przybiega grabarz co grób kopał do plebana, dając mu znać, że to dziecię co parę dni temu chowali, wciąż swą rączkę wysuwa z pod mogiłki. Pleban wziął natychmiast krzyż i stułę i pobiegł zażegnać to dziwo, ale co ziemi naprzerzucał, co się namodlił, wszystko nic nie pomogło, bo zawsze na wierzch wychodziła rączka. Nie wiedząc innéj rady, kazał uderzyć we dzwony, aby się gromada zbiegła, a gdy go otoczyła, odezwał się do matki zmarłego dziecięcia, aby wyjawiła tajemnicę, bo musi tu być w tem jakaś przyczyna, dla któréj to niebożątko nie ma spokoju i w grobie. Na to wezwana matka, zanosząc się od płaczu, wyznała, iż jedynaczka swego psuła nieraz pobłażaniem i zbytniemi pieszczotami, tak, że tenże

raz w gniewie poważył się podnieść na nią rękę, czego ona nie skarciła zaraz. Bierz więc tedy kobieto tę rózgę i bij rękę, co się porwała na matkę, a która teraz za to domaga się spełnienia téj ziemskiéj kary. Posłuszna rozkazowi matka, uderzyła rószczką dziecię po rączce, która też natychmiast sama schowała się pod ziemię. Na tę pamiątkę, ksiądz pleban zatknął ową rószczkę na grobie i wyrosła z niéj owa ogromna Gryżyńska brzoza, którą do dziś pokazują na przestrogę niedobréj dziatwie, a lud tameczny powyższe opowiadanie powtarza.

TAJEMNICZY DOM.

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 37 do 39).

— Wiecie co; odezwał się ktoś ze zgromadzonych, mojem zdaniem byłoby to najlepiéj, gdybyśmy nie tracąc czasu, a korzystając ze sposobności, że pana Piotra niema, poszli do tego domu i od dołu do góry go zrewidowali. Nam służy nawet prawo do tego. Mamy żony i dzieci przecie, powinniśmy więc czuwać nad tem, aby naprzód usunąć wszelkie niebezpieczeństwo, jakieby im kiedyś zagrozić mogło.

— Zgoda! Zgoda! odezwały się głosy ze wszech stron, i nawet merowi spodobał się ten piękny projekt; i pomyślał sobie: Mam prawo przecie zrewidować ten dom, aby się dowiedzić, co się z Paryżaninem zrobiło. W każdym razie, gdyby na mnie do władzy zaniesiono skargę, potrafię ja się zawsze wytłumaczyć wybornie.

Całe towarzystwo wyszło teraz z gospody i udało się w kierunku opuszczonego domu, gdzie przybywszy przeleźli przez płot i przebiegli ogród owocowy.



Brzoza Gryżyńska.—(str. 319, szp. 2).—(Rys. Polkowski—wyciął Szymborski).

Musimy tu nadmienić, że dość obszerny ogród pana Piotra, graniczył z cmentarzem, od którego tylko płotem głogowym był oddzielony.

Przybywszy teraz do tego głogowego płotu, ciekawi spostrzegli za wielkim orzechem włoskim jakąś postać, starannie się kryjącą za pniem drzewa. Najbojaźliwsi zatrzymali się przezornie, ale odważniejsi postąpili wprost do téj ukrywającéj się postaci.

I przekonali się, że to była stara Gertruda.

— Cicho! powiedziała ona.

— A to dla czego?

— Patrzcieno tylko! i wskazała im ręką ku cmentarzowi.

Na grobie klęczał jakiś człowiek, którego drugi podtrzymywał. Klęczący ten przypatrywał się kwiatkowi świeżo zakwitłemu na mogile.

— To *blady*, szepnęła stara.

— To Paryżanin, powiedział mer cicho.

— Pst! słuchajcieno. Właśnie teraz Paryżanin, czyli *blady*, gdyż dwie mu nazwy dawano, klęczał, i tak mówił do kwiata:

— O moja droga Marjo! jakże ty piękna jesteś w téj nowéj swéj purpurowéj szacie ze szmaragdowemi liśćmi. O jakże ty piękna jesteś! Ale powiedz mi prawdę, czy wiatr tych nocy nie jest za zimnym dla ciebie? Albo te krople rosy, które osiadają na tobie, nie mrożąż zbytecznie twego złotego kielicha!

Słuchając tych słów klęczącego, mieszkańcy miasteczka, mieli sposobność przyjrzenia się dobrze człowiekowi, co podtrzymywał *bladego*, i poznali w nim szanowanego powszechnie proboszcza z miejskiéj parafii.

— To nie żadne czary, ani też złe rzeczy się tu robią, skoro jest nasz ksiądz proboszcz przytomny, powiedzieli teraz.

— O droga Marjo! mówił znowu człowiek klęczący, trzeba cię opuścić, trzeba cię pożegnać..... aż do jutra więc Marjo!

Proboszcz pomógł mu teraz powstać i przy pomocy Gertrudy, zaprowadził go do domu pana Piotra.

Skoro tego dopełnił, wyszedł proboszcz z tajemniczego domu i stanąwszy przy zgromadzonych mieszkańcach, powiedział smutnie kiwając głową.

— Oj źle moi bracia żeście tacy ciekawi, a to nawet i wy panie merze z niemi! Oj źle, źle bardzo, ciekawość nigdy jeszcze do dobrego niedoprowadziła. No! ale kiedyście już gwałtem się w tę tajemnicę wdarli, to chodźmyż ztąd, opowiem wam historję tego bladego Paryżanina.

To zawezwanie było z ochotą przyjęte, gdyż ciekawi mieli nadzieję, że przynajmniéj czegośkolwiek zdołają się dowiedzieć, i będą mieli wytłumaczoną tę zagadkę, dla czego to ten Paryżanin, któremu żona umarła, ukrył od chwili pogrzebu swą obecność w miasteczku.

Usiedli na darniowych ławeczkach pod ogromnemi lipami, jakie nie zbyt daleko od tajemniczego domu przed kościołem rosły, a skoro się wszyscy usadowili, powiedział proboszcz:

— Przypominacie sobie zapewne śmierć téj młodéj osoby, któréj dopiero grób co widzieliście. Była ona bardzo delikatną, a przytem miała słabość piersiową. Sądzono, że jéj co tutejszy zdrowy klimat pomoże—ale widać Panu Bogu spodobało się ina-

czéj rozrządzić, i biedna Marja umarła, chociaż była tak dobrą, tak łagodną i ludzką o ile piękną. Cóż robić, my grzeszni ludzie powinniśmy zawsze mówić: Niech się dzieje wola Boża!

— Wieczorem tego dnia, w którym ona umarła, przybyłem przynosząc z sobą skarb najwyższy, Przenajświętszy Sakrament.

— Kiedym wszedł do pokoju, Marja była wtedy tak bladą, jak lilje naszych ogrodów. Okno z tego pokoju było otwarte i przez nie wlatywał ciepły oddech najpogodniejszéj nocy, a przytem można było widzieć ów majestatyczny płaszcz Boży, owe błękitne Niebo, posiane srebrnemi gwiazdami, łyszczącemi się jak brylanty najpiękniejszéj wody.

W nogach łóżka spostrzegłem człowieka łkającego, przykry on mi widok sprawiał, a to tem więcéj jeszcze, że w zbytku cierpienia jakiego doznawał, nieraz wymówił jakie bluźniercze słowo.

— Nie! zawołał ten nieszczęśliwy, jeżeli Marja umrze, to chybaby nie było Boga na świecie!

Marja na te słowa zwróciła oczy na tego, który ją tyle kochał i który teraz tak rozpaczał. W tem jéj spojrzeniu odbiło się wszystko, co ona czuła i co była warta jéj szlachetna dusza.

Z niewysłowionym wdziękiem odezwała się ona:

— Nie martw się, na cóż się to już zdało, a tembardziéj niezłorzecz woli Boskiéj. Odwagi! znieś mężu cios, jaki cię spotka. Jeżeli umrę, ty nie zostaniesz sam na ziemi. Patrz na to Niebo iskrzące się gwiazdami, tam się kiedyś znowu zejdziemy; tymczasem tu na ziemi znajdziesz wielu, którym się możesz poświęcić, którym możesz wiele dobrego zrobić—więc poświęć się dla nich, a nie będziesz czuł żeś opuszczony na ziemi.



Klęczał i tak mówił do kwiatka. — (str. 320, szp. 2).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Sosiński).

Biedny mąż płakał jednak jeszcze bardziéj.

Wyspowiadałem umierającą, pobłogosławiłem na drogę wieczności, pokrzepiłem w niéj ducha, i siedzieliśmy tak przy niéj przez noc całą prawie. Przytomność i dziwna spokojność ducha nie opuszczały umierającéj nawet na chwilę.

Nad ranem, kiedy jutrzenka poczęła się srebrzyć na Niebie, a gwiazdy blednąć i niknąć, odezwała się znowu Marja:

— Przyjacielu, oto przebudzenie się na nowo całéj natury. Ja za chwilę zgasnę; ale na świecie nic stanowczo nie umiera, wszystko znów kiedyś odżyje. Ja tam z góry będę patrzała na ciebie, będę każdym krokiem twoim kierowała, aż przyjdzie czas, kiedy się znowu złączemy.

I kiedy tak biedna Marja mówiła, brzask dnia nowego powiększył się znacznie, ptastwo poczęło świergotać gwarnie na poblizkich drzewach.

— Bądź zdrów! dodała umierająca, coraz bardziéj niknącym głosem. Niezapominaj o mnie i módl się. Do widzenia przyjacielu! Do widzenia mój dro...... i biedna Marja już niedoszeptała ostatniego słowa, głowa jéj zwisła i duch uleciał ku górze.

W téj chwili ukazała się złota tarcza wschodzącego słońca, i promień jego przez okno zawisł na twarzy umarłéj i ozłocił ją jakimś dziwnym blaskiem, jakąś aureolą świętości.

Lyonel, tak się nazywał mąż zmarłéj Marji, czyli *blady*, jak go nazywacie, cierpiał niewypowiedzianie, ale nie chciał przyjąć żadnéj pociechy od nikogo, nawet odemnie, dodał proboszcz. Zajął się jednak przygotowaniami do pogrzebu, który się we dwa dni odbył. Uważałem, że jakkolwiek na pozór zdawał się uspokojony, rozpacz okropna opanowała go zupełnie. Zbliżyłem się jeszcze raz do niego, aby go pokrzepić w nieszczęściu i rozerwać w strapieniu.

(D. c. n.)

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO PIOTRA
W RZYMIE.

(*Dokończenie.*—Patrz Nr. 39).

„Za ołtarzem, za baldachimem, daléj a daléj, ulatuj na skrzydłach podziwienia wzroku—tam wznoszą się sklepienia pokrywające prezbiterjum, a jeszcze daléj lśnią nisze przepychem; ale sklepienia te, nisze, ołtarze niby dymkiem błękitnym, złotym, zdają się być jedynie, przytłumione ginącem echem tych samych architektonicznych form, które zblizka grają całą potęgą.

Spojrzałem wprost po nad siebie; tam u góry iskrzące w kasetony, złociste sklepienia, bo przez tchy obłoczne, patrzą z wysokości zawrotnych na postacie ludzkie, ruszające się niby mrówki po kościelnéj posadzce.

Tak ogromny, tak wielki, tak wysoki jest ten przybytek Boży.

Aniołki dźwigające czary ze święconą wodą, zdają się mieć wymiary i postacie dziatek drobnych, a gdym tu w obec nich stanął, przybrały ogrom wielce rosłego mężczyzny.

Filary potężne jak wiara, krągłe sklepienia, półkoliste łuki, arkady, przenikają cię poczuciem siły nadziemskiéj, a spokojem uniesionym wysoko po nad sprawy doczesne.

A zdala i zblizka, w głównéj nawie i w bocznych nawach, pilastry, kolumny Korynckie, postacie rzeźbione: aniołów, świętych i mozajki lśniące drogiemi kamieniami, wysadziły przepychem tę przestrzeń świętą.

Nie wiem jak długo szedłem ku ołtarzom—bo nie mogłem się w sobie pochwytać ani upamiętać; poruszony byłem do dna duszy i tym światem, który zewnątrz uderzał i samą myślą, że jestem wśród największéj, najwspanialszéj świątyni całego Chrześcijaństwa.

Zatrzymałem się przed kopułą, w obec ołtarza wielkiego....

Nad nim, w olbrzymie wymiary wzrosł baldachim z brązu, przed ołtarzem balustrada z barwnych marmurów—otaczająca podziemną świetlicę, do któréj prowadzą podwójne schody, z białego marmuru.

Tam na dole Confessio.

Tam grób S-go Piotra — na balustradzie płoną dniem i nocą, owe lampy osadzone w rogach obfitości ze złocistego spiżu, tych nieśmiertelnych lamp jest osiemdziesiąt dziewięć.

Z głębin świętych grobu, znów wzniosłem oczy w górę po nad siebie — tam prawie w niedościgłych wysokościach wzbija się kopuła *Bounarottego*, a jeszcze powyżéj nad jéj sklepieniem, druga maluchna (tak zwana latarnia) jakby ostateczny wysiłek ludzkiego ducha, tęskniącego ku gwiazdom!

Od posadzki kościoła, aż do sklepienia téj kopuły małéj jest wysokości 405 stóp—średnica zaś kopuły dochodzi 139 stóp.

Cztery filary, które wznoszą się od posadzki, jak Atlas dźwigają kopułę! Obwód każdego filara, obejmuje blizko 220 stóp, to jest obszar sporego kościoła, otóż te filary—olbrzymy, połączone są od góry również olbrzymiemi arkadami, na których stanęła kopuła, między arkadą, błyszczą w krągłych medaljonach, wizerunki mozajkowe czterech ewangelistów; patrząc na takowe zdaje się, że postacie ich są mało większe, od przyrodzonych wymiarów człowieka, a jednak pióro jednego z tych mężów świętych, jest długie na siedm stóp.

Obok jednego z tych filarów po prawéj stronie kościoła, na podnóżu znacznego wzniesienia, jest siedząca postać samego Księcia Apostołów, ze spiżu ulana, baldachim jedwabny, rozpięty po nad mężem świątyni; stopy S-go Piotra spoczywają na wzniesieniu od posadzki, tak, że stoją prawie na równi z twarzą osób przechodzących.

Statua ta znajdowała się już w dawnéj Bazylice Świętego Piotra i pewnie przetrwała półtora tysięca lat; więc niedziw, że pokolenia po pokoleniach koło niéj przepływając, a rzewnie całując stopy posągu, zostawiły ślady téj czci swojéj, albowiem palec wielki u prawéj stopy, niemal w większéj części zniknął przez jedno dotykanie się do niego ust wiernych.

Postać świętego, w lewéj ręce piastuje klucze, a prawą ma podniesioną, błogosławiąc pokoleniom.

Nie daleko od tego pomnika staro-chrześcijańskiéj sztuki, widzisz drugie dzieło także spiżowe, to jest baldachim dźwigający się nad ołtarzem wielkim, na czterech kolumnach w śrubę skręconych, upstrzonych kwiatkami i draperjami brązowemi, u góry fantastycznie wykrawanych, nosi cechę gustu panującego w XVII-ym wieku.

Wysokość baldachimu przechodzi 87 stóp, a jednak, dochodząc tak znacznéj wysokości wśród kościoła, w porównaniu z ogromem wnętrza jego niezmierne drobnym i nikłym wydaje się, co z łatwością przekonać nas może, o majestatycznéj wielkości téj świątyni.

Nieśmiertelny *Michał-Anioł*, nie tylko jako genjusz budowniczy, przekazał wiekom dzieło swoje; świetnieje też, jako artysta malarz, a kaplica Sykstyńska dowodem tego; tamto umieścił sercem wstrząsające obrazy.

Tam widzisz świata stworzenie.

Widzisz Boga, jak rozdziela światło od nocy, wodę od lądów, widzisz proroków patrzących w głębie tajemnicze przyszłych losów świata — patrzysz na żywych i umarłych w obec ostatecznego sądu.

Taką jest świątynia Watykanu w Rzymie; w niéj w obu ramionach potężnych, stanęły szeregi konfesjonałów, o na każdym napis, głoszący, jakiemu ludowi na ziemskiéj kuli, jakiéj mowie jest przeznaczony—i wyczytasz imiona ludów, wszystkich części świata.

Wszystko w świątyni Piotrowéj nie już na setki ale na tysiące lat, naprzód obliczono, a czas zmierzono na nieskończone trwanie, gdyż obrazy w ołtarzach, nie są malowane farbami, co bledną i gasną w czasie, ale złożone z mozajki wieczno-trwałéj.

Genjusz *Michała-Anioła* uosobił tu się także w dziele rzeźbionem.

W jednéj z kaplic, jaśnieje w marmurowéj bieli arcy-dzieło jego „pietas"—pobożność wyobrażające, które jeszcze w młodości swojéj wykonał.

Do podziemia kościelnego pod wielkim ołtarzem, po schodach marmurowych wchodzi się, do małéj pieczary, miejsca, na którem pierwotnie S-ty *Anaklet*, nad mogiłą S-go Piotra postawił kaplicę.

Do grobu świętego nie wszystkim przystęp jest dozwolony, i grób, jakby dla ukrycia się przed obojętnem światłem pod ziemię schroniony, jakąś religijną tchnie tajemniczością.

Tam znaleziono zwłoki S-go Apostoła, które dotąd spoczywają tamże.

Msza święta tamże odprawiana, w cieniu i całkowitem od świata odosobnieniu, przy grobowéj lampie, na trumnie w ołtarz zmienionéj, przypominając pierwszych Chrześcijan, ich tajemne obrządki i cierpienia, uroczyste czyni wrażenie.

Lecz, gdy wsród tego cichego, tajemniczego nabożeństwa, dadzą się niespodzianie słyszeć katedralne z góry organy, a muzyka mdłe tylko w podziemia lochów przeszle tony, jakby Niebiańskich głosów echo, zdaje ci się znajdować obok anioła pociechy i nadziei, słysząc jego głos.

Lecz wejdźmy teraz na ów płaski dach kościoła S-go Piotra, a staniemy w osłupieniu; zdaje ci się naprawdę, żeś w obec rynku, jakiegoś małego miasteczka, bo tu, na téj olbrzymiéj równéj przestrzeni, widać rzędy kopuł, szeregi domostw, budynków, z których jedne są przytułkiem dla robotników, inne składem sprzętów budowlanych, znowu inne, chowają w sobie tysiące a tysiące lamp, kagańców, przyrządów, służących do owego cudnego przepychu oświetlenia kopuły w dnie uroczyste.

W środku tego miasteczka, zmurowanego wysoko po nad powszednie mieszkania ludzi, kopuła w pogodnym majestacie wspina się ku gwiazdom, jakby niebolotny psałterz Boży.

Jest to najwspanialszy ołtarz miłości, który dźwignął genjusz, imieniem rodu ludzkiego, na cześć Panu.

Kopułę otaczają jeden nad drugim dwa ganki; stojąc na drugim, przerażającego czcią i uwielbieniem doznajesz wrażenia, szczególnie gdy zapuścisz wzrok wewnątrz kościoła, gdzie wszystko z razu olbrzymie ginie w przepaścistych otchłaniach.

Opuściwszy ten ganek, znowu wstępujemy w mur kopuły, wyżéj i wyżéj prowadzą w nim schody, aż stajemy pod latarnią, a nakoniec pod ową gałką czyli kulą metalową; po drabinie żelaznéj dopiero wejść można do jéj wnętrza; ona tak jest obszerną, że szesnaście osób w sobie mieścić może, ale niepodobna ani kilku minut tu przeczekać, bo metal roz-

palony słońcem, piecze i praży, dlatego, jak najśpieszniéj schodzi się w latarnią.

Widok ztąd jest niezmierzony, na miasta, na wsie, a pod samem Niebem, błyszczy srebrnem zwierciadłem morze.

A tak, ze szczytu najwznioslejszéj świątyni chrześcijańskiéj, panujesz okiem nad śródziemnemi wodami, co widziały i zrodzenie i tryumfy Romy, śpiewały psalmy pokutne, konającéj świata mistrzyni.

A tu przed nami, ta kopuła kąpiąca się w słońca promieniach, niby płomień ofiarny ludzkiego rodu.

W głębi pod kopułą, w głębi pod kościołem, w ciemnych podziemiach, jaśnieje w światłościach i na wieki wieków żyje i żyć będzie umarły.

Tam w głębi mieszka tryumfator Rybak Boży, co jest opoką, na któréj Pan dźwignął kościół swój, na któréj spoczęły prawdy Niebios i ziemi i żywotne zakony gwiazd i ludów—prawdy, których nieprzezwyciężą żadne złości ludzkie, ani bramy piekielne.

E. Majerski.

NAJTAŃSZY BAROMETR.

Jak to dobrze wiedzieć naprzód, jaka będzie pogoda, a można to wiedzieć z uważania różnych znaków, ale najłatwiéj z obserwacji dobrego barometru. Tylko że barometr z żywego srebra dużo kosztuje, a łatwo może być zepsutym przez jakiego zbyt ciekawego psotnika.

Można jednak sobie zrobić samemu barometr bardzo dokładny, a około jednego złotego tylko kosztujący. W tym celu, trzeba kupić w aptece pół grana kamfory, tyle czystéj saletry i tyleż soli amoniackiéj. Trzeba prosić tylko tego co będzie ważył w aptece, by żądane materjały, odważył ściśle, żeby nie było ani trochę więcéj ani mniéj. Potem trzeba mieć flaszeczkę podłużną, taką jak ta co Kolońską wodę w niéj sprzedają i w aptece kupić najmocniejszego i najczyściejszego spirytusu tyle, aby ten wypełnił tą flaszeczkę, aż po szyjkę.

To już będziemy mieli wszystkie materjaty, potrzebne nam do przygotowania bardzo dokładnego barometru. Trzeba teraz w trzech osobnych czystych szklankach lub kieliszkach rozpuścić każdy materjał, biorąc go osobno i nalewając trzecią częścią kupionego spirytusu. Skoro się to wszystko rozpuści, należy wszystkie te trzy roztwory zmięszać wlewając je do flaszeczki podłużnéj razem, którą trzeba zatkać dobrze przystającym koreczkiem i zapieczętować lakiem. Potem wstrząsać flaszeczką aby się wszystko zmięszało i powiesić ją w oknie, najlepiéj od strony północnéj to jest, gdzie nie dochodzi słońce, bo to najwierniéj pokazuję zmiany powietrza.

Krystalizacja, jak się wewnątrz téj flaszeczki okazywać będzie wskaże nam w sposób pewny, wszelkie zmiany w powietrzu mające nastąpić.

Jeżeli płyn będzie przezroczysty, to oznacza piękną pogodę.

Skoro się mętność we flaszeczce okaże, znak to deszczu.

Kiedy zaś uformuje się wewnątrz coś na podobę lodu, to znakiem będzie powietrza ciężkiego, a jeżeli to będzie w porze zimowéj, to mającego nastąpić mrozu.

Obecność małych gwiazdek w płynie, przepowiada burzę.

Kosmyki pływające wewnątrz buteleczki, zapowiadają czas pochmurny, a w zimę śniegi.

Pływające nitki w części górnéj, wiatr.

Skoro zaś ujrzemy małe punkciki, będzie to znakiem czasu wilgotnego i mglistego.

Im więcéj takiego ciała podobnego do lodu spływać będzie do góry, tem też czas będzie mroźniejszy.

Pamiętać należy, że w pierwszych zazaz tygodniach po zrobieniu tego barometru, oznaki zmian powietrza nie okazują się dobrze, ale późniéj barometr ten reguluje się sam zupełnie.

Owady i zwierzęta, których tępić nie trzeba.

Oczyszczajmy z pająków jedynie siedziby nasze, chociaż one są nam przez to użyteczne, że wyniszczając muchy uwalniają nas od ich natręctwa, podczas dni letnich.

Nie przydeptujmy tego ładnego świerszcza; wszakże on poluje na gąsienice, ślimaki, chrabąszcze.

Wąż niejadowity, żyje myszami polnemi, tyle szkodnemi naszym plonom.

Padalec niejadowity żyje szarańczą.

Nie zabijajmy kukułki; wszak ona z taką chciwością pożera różnego rodzaju liszki tyle nam nieprzyjemne a nawet i często szkodliwe, albo pełzaczów, dzięciołów, piegży—nieprzyjaciół zajadłych stonóg i os przeróżnych.

Dajmy spokój wróblom, żywią się one ziarnem wtedy tylko, kiedy im zbraknie robaków lub owadów szczególniéj takich, które wyrządzają szkodę ziarnom naszym. Nie strzelajmy do szpaków, bo te żywią się poczwarkami, i wieńczą nasz inwentarz pasący się na łanach.

Czemuż łowimy sikory?... wszak jedno stado chwyta w przecięciu do 120,000 robaków na pokarm dla swych piskląt.

Nie niszczmy czerwca, bo on żyje pchlicami tyle szkodliwemi naszym ogrodom.

Nawet ropuchy polują na ślimaki, mrówki, chrząszcze.

Nietoperze wyjadają ćmy, chrabąszcze, tak jak jaskółki wytępiają komary.

Odmiana myszy polnéj z pyszczkiem długim, żywi się glistami ziemnemi.

Nie upierajmy się i nie zwodźmy drugich, powtarzając jakoby sowa pożerała gołębie, kurczęta; przeciwnie pracuje ona za 6 kotów albowiem przecięciowo wyniszcza do 6,000 myszy.

Nie prześladujmy więc napróżno istot, chociażby dla naszego oka zdawały się brzydkiemi, są one pomimo wstrętu, jaki w nas obudzają, jeszcze użyteczne i nie bez celu stworzonemi zostały przez Tego, który z taką harmonją ten świat stworzył, po którym stąpamy.

ROZMAITOŚCI.

— Kapelusze słomiane we Włoszech, tak ulubione od całego eleganckiego świata, stanowią dla Toskanji gałęź przemysłu, którego dochód obliczają na 20 miljonów zł. pol. Grunt Toskanji jedynym jest we Włoszech, który dostarcza słomy dość cienkiéj na kapelusze, a w saméj Toskanji okolica Florencji, jest jedyną miejscowością, która wydaje materjał szczególnéj dobroci. Słoma ta pochodzi ze zboża szczególnego rodzaju, którego źdźbła są wysokie najwyżéj do 24 cali.

Każda kobieta z ludu, zajmuje się w tym kraju plecieniem słomianych kapeluszy, i często widzieć można najpiękniej-

sze i najdelikatniejsze kapelusze na głowach wieśniaczek, które je same zrobiły i za żadną cenę by nie oddały. Zszywanie kapelusza, jest ciężką i zmudną pracą. Kapelusz musi wyglądać jak z jednéj sztuki, a to wymaga nieskończonéj zręczności, cierpliwości i pośpiechu. We Florencji wyrabiają corocznie przeszło pół miljona słomianych kapeluszy. Fabryka w Enepoli zatrudnia 4,000; w Sesto 2,000 robotników.



JESIEŃ.

Krzepnie już ciepło powietrza,
A chociaż świeci wciąż słońce,
Już nie tak znojne—gorące,
Jak było w czas Święto-Pietrza.

I jakoś smutniéj dla świata,
Gdzieniegdzie tylko plon leży;
Milknie piosenka pasterzy,
I ptastwo dzikie odlata.

Lecz za to ruch przy zagrodzie:
Bróg się napełnił i gumna;
A gospodyni rozumna,
Przestała myślić o głodzie.

Héj dziatwo, daléj do gruszek!
I kruczek szczeka wesoło,
A tam het z kijem, przez sioło,
Dąży dziad siwy staruszek.

A kiedy zima zawieje,
Szczęśliw przy ciepłym kominie,
Opowie sytéj rodzinie,
Swojéj wędrówki dzieje.

Józef z Mazowsza.



Jesień.—(Rysował Tegazzo—wycięto w drzeworytni Przyjaciela Dzieci).

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, Adam Mieczyński.